

TYGODNIK ILLUSTROWANY.



N^o 191.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 23 maja 1863 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM VII.

TREŚĆ NUMERU.

Tekla z Bielińskich Łubińska (z drzeworytem).—Kronika tygodniowa. — Obrzędy weselne ludu w Wilkomińskim (z czterema drzeworytami).—Od redakcy.—Przegląd polityki zagranicznej. — Jarema (dalszy ciąg). — Szachy.—Rebus.

konfederacyi barskiej. Ojciec jej Franciszek Bieliński, starosta czerski, był pisarzem koronnym i dlatego stale przemieszkował w Warszawie. Małżonką jego a matką Tekli, była Krystyna z książąt Sanguszków, znana z wielkiej pobożności i cnoty, która wbrew ówczesnym zwyczajom, lubo wychowana w wirze wielkiego świata i wystawiona na jego ponęty, wszystkie chwile poświęcała modlitwie,

ręcznej pracy, pełnieniu powinności i miłosiernym uczynkom. Wcześniej jednak podobało się Bogu przeciąć to pasmo pożytecznego i świętobliwego żywota; Krystyna Bielińska umarła młodo, osierociwszy męża i pięcioro drobnych dzieci, z których Tekla liczyła za ledwie lat dziesięć. Wówczas to młoda sierota znalazła kłiwą opiekunkę w rodzonej babce swojej Barbarze z Duninów księżnie Sanguszkowej, wdowie po marszałku wielkim litewskim. Pani ta, jedna z najznakomitszych matron polskich, prowadziła w stolicy dom otwarty, słynny staropolską gościnnością, a różniący się od innych ówczesnych domów, wielką powagą i tym urokiem, jaki prawdziwa pobożność i cnota zwykły rozciącać w około siebie. W zacnym tém kole bywali między innymi uczeni mężowie, których prace literackie i naukowe nie miały blasku rzucając na czasy Stanisława Augusta; najczęstszym zaś ze wszystkich gościem był słynny biskup Krasicki, pierwszy z ówczesnych pisarzy i poetów.

TEKLA Z BIELIŃSKICH

Łubińska.

Przy świetnym rozbudzeniu się literatury za czasów Stanisława Augusta, kobiety polskie bardzo słaby brały udział w piśmiennictwie krajowym. Kiedy niekiedy za ledwie pojawiały się jakieś przekłady z francuzkiego lub włoskiego, dokonane nieśmiały ich ręką. Wiele na to składało się powodów. Panie z wyższego społeczeństwa warszawskiego, wychowane wyłącznie na sposób francuzki, po większej części trwoniły czas na ucztach i zabawach, nie myśląc o pracy umysłowej; córki zaś szlacheckie, w których przechowała się tradycya narodowa, zamało miały sposobności do gruntownego wykształcenia i chętniej zabawiały się igłą i kądzią, niżeli książką i piórem. Potrzeba też było prawdziwego talentu, aby przełamać trudności i własną siłą utworzyć sobie drogę, potrzeba było żelaznej wytrwałości i pracy, aby pomimo cudzoziemskiego kierunku nadanego wychowaniu, wyuczyć się ojczystego języka i umiejętnie nim zawładnąć; potrzeba było nade wszystko zamięłowania w życiu rodzinnym i pożytecznym, aby nieuledż panującemu popędowi, aby oderwać się dobrowolnie od ponęt wielkiego świata i zamknąć się w ustroni wiejskiej, pracować w ciszy i głębokim ducha skupieniu. Taki przykład widzimy w Tekli Łubińskiej, która wychowana za czasów Stanisława Augusta, sama jedna z pomiędzy Polek zajaśniała na widokręgu literackim, za rządów pruskich i księstwa warszawskiego.

Tekla Łubińska urodziła się w Warszawie w r. 1767, w trzy lata po wstąpieniu na tron króla Poniatowskiego, a na rok przed zawiązaniem



TEKLA Z BIELIŃSKICH ŁUBIŃSKA. (Rysował ze sztychu Polkowski).

Pod takim to wpływem wzrastała mała Tekla w licznym gronie rodziny, gdyż księżna, przeżywszy kilkoro z dzieci swoich, przyciągnęła do siebie jedenaścioro osierocionych wnucząt i pielęgnowała je z prawdziwie macierzyńską troskliwością. Wychowanie tych dzieci głęboko religijne i napiętnowane duchem polskim, uległo jednak panującemu podówczas wpływom. Wszystkie nauki wykładane były po francuzku, a dzieci, lubo kochały kraj całym sercem, pisały i mówiły wyłącznie prawie obcą mową. Przyszła autorka nie znała też bynajmniej zasad ojczystego języka i dopiero poszedłszy za męża, gorliwą pracą nabyła tę biegłość we władaniu polską mową, jakiej później liczne dała dowody.

Przez pięć lat młodziuchna Tekla zostawała w domu ukochanej babki, gdzie miała sposobność poznać cały ówczesny świat warszawski; ale książęcy przepych, w jakim wzrosła, nie zawrócił jej wcale głowy i nie stał się konieczną jej życia potrzebą; przeciwnie nawet, cicha i spokojna z natury, nie lubiła głośniejszej wrzawy świata, a życie domowe nierównie więcej miało dla niej uroku.

Mając za ledwie lat piętnaście, w

r. 1782 oddała rękę Feliksowi Łubieńskiemu, staroście nakielskiemu, który już w r. 1778 był posłem na sejm pod łaską Tyszkiewiczza. Tkliwie do męża przywiązana, chętnie z gwaru stolicy przeniosła się do zaciszy wiejskiej i zamieszkała w sieradzkiej ziemi, we wsi Szczętniakach, gdzie rozpoczęła ciche a piękne pasmo życia, wolne od światowego rozgłosu, lecz pełne cnót rodzinnych i rzeczywistych zasług. Grono drobnych dzieci rozjaśniło niezadługo domowe ognisko małżonków i otworzyło młodej matce szerokie pole do pracy i poświęcenia. Sama też oddała się gorliwie wychowaniu dziatwy, nie spuszczając się w tym względzie na nikogo, a lubo przy coraz liczniejszej rodzinie potrzebowała później wezwać pomocy nauczycieli, sama uczyła dziatek pacierza, przemawiała do nich o Bogu, a w młode ich serca szczepiła miłość ojczyzny; sama była wreszcie jedyną mistrzynią córek, których nie wypuściła ani na chwilę z pod macierzyńskich skrzydeł swoich.

W kilka lat po ożenieniu się Feliks Łubieński wybrany został posłem na sejm czteroletni, gdzie pracował w sprawach dyplomatycznych. Ta okoliczność sprowadziła oboje małżonków do Warszawy. Tu, u głównego ogniska ówczesnych spraw publicznych, umysł młodej kobiety dojrzewał z dniem każdym, a serce jej uderzało coraz silniejszą miłością kraju, nad którego odbudowaniem pracowało tylu gorliwych obywateli. Chętnie podówczas przysłuchiwała się poważnym rozmowom zasłużonych mężów, pilnie uczęszczała na obrady sejmowe, a wspomnienia o nich zapisywała wierszem. Wówczas to zapewne miłość kraju obudziła w niej chęć kształcenia się w mowie ojczystej, wiele bowiem jej wierszy nosi datę owej pamiętnej epoki.

W roku 1794 serce jej doznało ciężkiej boleści, zamknęła bowiem oczy ukochanej babce księżnie Sanguszkowej, która była dla niej drugą matką. Wkrótce też i ogólne nieszczeście dotknęły ją ciężko i niejedną łzę wycisnęły z jej oczu. Dręczyło ją niemało w tych czasach chwilowe rozłączenie się z mężem, który dla bezpieczeństwa wyprawił ją z sześciorgiem dzieci do Pragi czeskiej, gdzie przebyła kilka miesięcy. Z Pragi powróciła znowu w krakowskie, do starostwa zagojskiego, które mąż jej nieco dawniej otrzymał. Niedługo jednak zakosztowała szczęścia w ulubionym sobie Zagościu. Wojna wrzała podówczas w Polsce, a ognisko jej przeniosło się właśnie w ziemię krakowską. Po bitwie raclawickiej, stosownie do woli troskliwego męża, wyjechała do krenwych do Galicji, gdzie niespokojnie oczekiwała końca wypadków. Jakoż niezadługo doszła ją wieść o bitwie pod Maciejowicami. Wieść ta tak mocno ją dotknęła, że zachorowała niebezpiecznie i ledwie że ją uratować zdołano. Wówczas to przyszedł na świat ostatni z jej synów, któremu przez cześć dla Kościuszki dała imię Tadeusz.

Po skończonej wojnie, wróciła z dziatwą do Zagościa, gdzie mimo zewnętrznych trosk, odetchnęła spokojnie, w ciszy domowych progów.

Mozolna praca około wychowania licznych dziatek, wyłącznie ją odciążała; na niej schodziły jej szybko całe dnie, a zabiegi te napępiały jej serce tklivą pociechą. Bóg, w nagrodę poniesionych trudów, dał jej też zakosztować tego najwyższego szczęścia i błogosławieństwa, że mając dziesięcioro dziatek, nie patrzyła na zgon żadnego z nich, a wszystkie zdrowo i krzepko rozwijały się pod macierzyńskim jej okiem. Równie dobra córka, jak matka, niemniejszą otaczała troskliwością podszego ojca swego Franciszka Bielińskiego, który postradawszy ogromny majątek, przepędził późny wiek w domu córki. Starzec ten zaniewidział w ostatnich latach, przez co tym większych potrzebował starań koło siebie. Umiała im odpowiedzieć dobra córka, umiała osłodzić mu dotkliwie kalęstwo i miłością otoczyć dni jego ostatnie. Liczne grono dzieci rozweselało starość ukochanego dziadka, a kiedy oprócz wzroku, postradał siły w nogach, wnuki toczyły go w wózku na kółkach i wraz z matką pielegnowały go troskliwie, przysłuchując się opowiadaniu starca o dawnych sprawach kraju, w których sam brał czynny udział i na których bieg własnymi patrzył oczyma. Franciszek Bieliński był rodzonym synowcem słynnego marszałka Bielińskiego, także Franciszka, który, za czasów Augusta III, wielkie pod względem zarządu położył w Warszawie zasługi. On bowiem, działając z niezmierną gorliwością i energią, oczyścił miasto ze złodziei, którzy pod osłoną ciemności nocnej, dopuszczali się częstych gwałtów; on także wybrukował ulice miasta, czego pamiętkę zostawił na wieczne czasy, wystawiając figurę świętego Jana, w miejscu zwanem dziś *trzemna krzyżami*, pod którą położony napis świadczy do dziś dnia o pożytecznych jego rządach.

Zajęta ojcem, mężem i liczną dziatwą, poetka nasza miała czas jeszcze zajmować się osieroconymi pańkami, które jej ojcowie oddawali na wychowanie, oceniając jej gruntowne zasady i wykształcony umysł. Między innymi wychowała trzy panny Lanckorońskie i dwie Grodzkie, które wydała za mąż z jej domu, zachowały dożgonną ku niej wdzięczność. Pomimo tych rozlicznych trudów, pracowała ciągle umysłowo. W ulubionym sobie Zagościu, pod przewodnictwem światłego męża, czytała wiele i pisała ulotne wierszyki, zapowiadające już niepospolity talent. Niemało z tych czasów pozostało jej pism, tak oryginalnych, jak tłumaczonych z francuzkiego; wszystkie nacechowane jedną myślą, jednym uczuciem: miłością kraju, męża, rodziny i domowych progów. Na tém tle rozwijał się jej talent; w tém czystym źródle bujna wyobraźnia czerpała poetyczne natchnienie; w tych warunkach, zamiast tęsknoty za urojonem szczęściem, tak zwyczajnej poetom, znajdowała szczęście rzeczywiste, jak to wielokrotnie powtarza:

Z mężem i dziećmi—z własnym sercem w zgodzie,
Pełniąc powinność, szczęście mam w nagrodzie.

W innym wierszu, ukazując liczne manowce któremi puszcza się ludzkość za wymarzoną pomyślnością, czyni wyznanie głębokiego w tym względzie przekonania:

Ja na tém szczęście w mej myśli zakładam,
Co Bóg przykazał, to wypełniać pilnie,
Więcej nie pragnąc nad to co posiadam,—
Tym idąc torem znajdę je niemylnie.

W przekładach nawet z francuzkiego, wybierała zawsze przedmioty odpowiednie swym myślom i uczuciom. Oto wyjątek z dzieła pani Deshouillère o moralności kobiet:

Szanuj rodziców: młodej piersi ciepło
Niechaj ogrzewa ich starość zakrzepłą,
Niech twoje oko wiernie dziatwy chroni,
Którą Opatrzność powierza twój dloni,
Córko! innego nie trzeba ci wzoru!
Matko! to klejnot twojego ubioru!
Dzień i noc zważaj na każdej dzieciny
Siły, spoczynek, igraszki i czyny,
Bo matka domu i rodziny głowa,
Istna to między pszczołkami królowa.
W sercu kobiety skarb szczęścia złożony,
Niech go na obce nie rozprasza strony,
W młode umysły niech zaszczenia zgodę,
Naprawia serca, rozsięwa pogodę,
Ku cnocie męża niech kieruje kroki.
Takie to dla nas niebiosów wyroki,
W tém leży całe szczęście płci niewieściej,
Co w powinności obrębie się mieści.

W tém pasmie pogodnego życia przykrą jej była często nieobecność męża, który w ważnych sprawach krajowych oddał się nietylko z Zagościa, ale niekiedy nawet z kraju. Wybrany bowiem od województw wielkopolskich w poselstwie do króla pruskiego, jeździł do Berlina, gdzie wyjednał uwolnienie więźniów politycznych. Podczas nieobecności męża, tkliva małżonka pisywała do niego długie listy wierszem, w których opowiada mu dowcipnie prace rolnicze i gospodarskie zatrudnienia. W jednym z tych listów utyskuje, że pogoda wiosenna tak długo się ociąga, a przynajmniej że ona jej nie czuje:

Bez ciebie czasu pogody
Dopatrzeć nie mogę bacznie,
Wdzięku nie mają ogrody,—
Lecz przyjeżdż—wiosna się zacznie!

Ze wszystkich miejsc, gdzie przemieszkiwała w ciągu życia, najmilszą jej była wieś Zagoście. Piękna przyroda krakowskiej ziemi, odpowiadała jej poetycznej wyobraźni, a życie w oddaleniu od świata, miało dla niej niepojęty urok. Niejedną też sielanką uczciła to ulubione miejsce i szczerze ubolewała, kiedy jej przyszło opuścić miłą sercu wioskę, przenosząc się do Guzowa w okolice Warszawy. Odjeżdżając z Zagościa, nakreśliła tklivy wiersz na pożegnanie tych miłych zakątków, gdzie żyjąc w samotności, mogła przynajmniej zeicha zapłakać przy kołysecie dziecicy, gdzie w jednostajnych a codziennych trudach, szybko upływały jej godziny.

Posiadając jednak sama w sobie zasób domowego szczęścia, znalazła je i w nowej siedzibie. Wkrótce też oteśniła się po Zagościu, tém snadniej, że wychowanie dorastających dziatek coraz więcej zabierało jej czasu.

(Dokończenie nastąpi).

OD REDAKCYI.

Na liczne zażalenia z powodu nieodbiórania pisma naszego, niepodobna nam szczegółowo odpowiadać. Czynimy to niniejszem, wyjaśniając że opłaty wraz z listami przesyłane w miesiącu styczniu a nawet dawniej, dopiero w kwietniu podochodziły. Każde żądanie chętnie załatwiamy; prosimy jednak aby Szanowni Prenumeratorowie na odezwach swych raczyli kłaść datę nowego stylu, albo jedną i drugą.— Jestto niezbędne, dla uniknienia pomyłek i zrozumienia żądań.

Kronika tygodniowa.

W Paryżu skarżą się obecnie na coraz wzrastające zbytki.

I rzeczywiście, z opisów jakie nas ztamtąd dochożą można nabrać wyobrażenia, że marnowanie pieniędzy na stroje, na sprzęty domowe, na uciechy wszelkiego rodzaju, na wszystko to co w ogóle ucztą życia nazywamy, doszło już tam do bardzo wysokiego stopnia. Pod tym względem Paryż nie ma nic do zazdrośczenia starożytnemu Rzymowi. Nie mówię już o owych bajecznych latarniach gazowych, które, według twierdzenia jednego z dzienników, damy sobie tam przyczepię do czoła; ale rzeczy najpowszechniejszego użytku doszły do bajecznych cen prawie. Istnieją chustki od nosa wartości kilku, a nawet kilkunastu tysięcy franków, wynajdują się materye coraz kosztowniejsze, koronki, za ceny których możnaby kamienie zakupić, i tysiące innych fraszek bez najmniejszej wewnętrznej wartości, podnoszące budżet domowych wydatków do summ niesłychanych.

Więc też zdarzają się codziennie prawie processa pomiędzy mężami a kupcami i modniarkami, którzy zonom ich dostarczają na kredyt przedmiotów do stroju potrzebnych. Prassa chłoscze jak może te nadużycia, ale jak zwykle głos jej niezgodnym jest do powstrzymania ogólnego popędu. Znajdujemy się u progu bankructwa, wołają wszyscy, lecz pomimo tego upominani, a nieraz i upominający, ochoczo biegną w otchłań.

Wolno zresztą Paryżowi, który jest jednym z najbogatszych miast świata, (wspomnę mimochodem, że znajdują się tam dziś nawet jeszcze polskie żaby, starające się dorównać paryżkim wołom, choćby to nadzwyczajne rozdęcie życie ich kosztować miało) wolno, mówię, Paryżowi; ale czyliż potrzebuję tutaj nadmienić, że Warszawa nie jest Paryżem, chociaż przez długi czas cieszyła się z podobieństwa jakie niektórzy pomiędzy nią a francuzkiem miastem pragnęli upatrywać? A jednak....

Żałuję że nie jestem taksatorem.

Albo jaką modniarką znającą się na swoim rzemiosle.

Albo wreszcie redaktorem Magazynu mód.

Bo mógłbym, znajdując się w jednym z tych trzech warunków, zaznaczyć tutaj niemało faktów zasługujących na wytknięcie.

Od pewnego czasu czytywaliśmy tu i owdzie wiele pochwał skromności i oszczędności, które zastąpiły u nas miejsce zbytku. Ustają już, mówią ogólnie, owe czasy, w których tysiącami sypano na ubranie, ustają już ów zbytek, najgorszy ze wszystkich, bo zbytek podniebienia i gardła, który nakazywał trwonić pieniądze, tuczając ciało i materializując ducha.

Co do drugiego punktu, mieliśmy już sposobność wytknąć nadużycia wielu (chcielibyśmy nazwać ich wyjątkami) śniadańkowiczów, którzy wystosowali wprawdzie do nas kilka reklamacyj, ale niewzruszeni w swoich zamiarach, posuwają się na raz obranej drodze, jak słońce niezważające na wrzaski Beduinów. Mniejsza już o nich: zropaczylimy o tych ludziach, którzy się w brzuchy przemienili. Ale należy nam ostrzedz inną, zdrowszą może część społeczeństwa, która w również naganny błąd popada, zły przykład rozszerzając naokoło. A jak wiadomo, zły przykład jest zaraźliwy.

W porze obecnej wszystkie przechadzki warszawskie zapelnione są lubownikami świeżego powietrza; szczególnież w święta uroczyste rano i wieczorem o-

grody są natłoczone. Owóż, przy modzie obecnie panującej, trudno odróżnić się oryginalnościami stroju, jakie dawniej popłacały. Ale niektóre damy (proszę uważać że powiadam *niektóre*, jakkolwiek tych niektórych jest dość wiele) postanowiły w inny sposób szukać odznaczenia. Tym sposobem jest cena sukien jakie przywdziewają na siebie. Zasięgałem rady osób znających się na tém, i zapewniły mnie one, że ceny wielu materyj używanych dziś na suknie droższe są niż kiedykolwiek, a chustki, okrywki i inne fatalaszki, których malowniczych nazw nie znam dokładnie, mogłyby pieniędzmi wyłożonemi na nie wprawić w zadumienie nawet paryżką damę.

Odpowiedzą mi: co komu do tego, kiedy starczy na to? Otóż przeczę temu i przeczę najzupełniej. Nie starczy, nie starczy na wiele bardzo rzeczy, przed którymi idą okrycia i suknie. Widzieliśmy tam a tam, donosi pismo specjalne podobnym wiadomościom poświęcone, nader gustowne okrycie (tu następuje szczegółowy opis), którego cena wynosi *tylko* 166 złp. gr. 20. Tylko! Tanie okrycie za taką sumę! Jakaż cena na drogę będzie naznaczona? A za te sto sześćdziesiąt sześć złotych groszy dwadzieścia, wiele rzeczy domowego użytku nabyłoby się dało? Suknia, na której nabycie setkami się sypie, czyni niemałą szczerbę w ograniczonych dochodach gospodarstw naszych, a szczerba ta, bezużytecznym sprawiana wydatkiem, czém się opłaci?

Nieraz tym, co z taką łatwością setkami za suknie sypią, ciężko przychodzi wydać parę złotych miesięcznie na dobroczynne uczynki.

Pewna dama, będąca tego przekonania że im taniej obecnie przychodzi ubranie, tém większa zastęga dla kupującej, wyczytała w piśmie o którym wspominałem, zalecenie jednego z tych wyborowych sklepów, które okrycia gustowne sprzedają tylko po złp. sto sześćdziesiąt sześć groszy dwadzieścia, a przy nadeszłej obecnie cieplej porze potrzebowała kapelusza. Wchodzi więc do sklepu i prosi żeby jej podano strój żądany.

— Pani życzy sobie kapelusza? pyta administrator a ubiorów kobiecych.

— Tak jest.

— A za jaką cenę?

— Chciałabym o ile możności najtaniej. Gdyby nie można inaczej, zapłaciłabym od czterdziestu do pięćdziesięciu złotych.

— To pani zechce się pofatygować do którego z *pośledniejszych* magazynów, bo my za tak niskie ceny kapeluszy damskich nie sprzedajemy.

Tak niskie ceny!

Oto macie wytłumaczenie zagadki. Żeby ustrzedz kupujących od nagannego popadnięcia w taniość, pan kupiec albo magazynierka nie sprzedają po tak niskich cenach! Zdawałoby się że zwykłą ich praktykę stanowi zgromadzenie magnatów brazylijskich, parów angielskich lub paryżkich bankierów. Jakże świetne wyobrażenie o kwitnym stanie bogactwa u nas muszą mieć zagraniczni przemysłowcy, od których same najdroższe towary bywają zład zapisywane. Ta Polska, to prawdziwe Eldorado, mawiają oni zapewne między sobą. A wszakże kupcy tam nie sprzedają tańszych kapeluszy jak po sto złotych, a okrycia po cenie kilkuset złotych, to chleb powszedni.

— O ileż wolę tego kupca, który gdy u niego pewne damy drogą bardzo materyją oglądały, wyjął im ją z rąk, mówiąc:

— Dajcie panie pokój. Co paniom po takiej drożynie? Trzeba oszczędzać pieniądze.

— Ale ta materyja będzie leżeć u pana w sklepie, a mybyśmy ją kupiły.

— A niechaj sobie leży. Ja chcę żeby leżała. Dzięki Bogu stać mię na to. A nie będę przynajmniej wyciągał kobiet warszawskich na niepotrzebne wydatki.

I odwracając się do subiekta:

— Podaj pan, rzekł, tę sztuczkę na suknie z putki na lewo. To bardzo trwałe materyja, a nie drogi. Będziecie panie zadowolone z niego i podziękujecie mi. A po co wyrzucać napróżno drogieceny grosz? Lepiej zachować na coś użyteczniejszego.

Oświadczamy że tak jedna jak i druga rozmowa jest prawdziwa. Moglibyśmy wskazać nazwiska właścicieli tych sklepów; nie czynimy tego jednak, z powodu że nie lubimy reklam na dobre czy na złe. Ale po wskazówkach jakie daliśmy, łatwo dojść prawdy.

Więc odzywam się do was, panie warszawskie, do was, które tyle rzeczywiście pięknych przymiotów zdobi, do was, co zwykłyście przodować innym na dobrej drodze, chciejcie umiarkować się w tym nagannym popędzie zwierznego błyszczenia i porzuc-

cie sklepy nie sprzedające towarów za ceny umiarkowane. Jak na Czystym albo w Czerniakowie będziemy posiadali kopalnie kalifornijskie, jak Saska Kępa zmieni się w złotodajną Australię, wówczas przyjdzie na was czas kupować okrycia po kilkaset złotych. A dziś dajcie temu pokój.

Bo od tych dam, co suknie materyjne po kilkadziesiąt złotych wloką na kurzu Saskiego ogrodu, wolę już w najgorszym razie panią Skórzewską, która dysputuje z matematykami Lambertem i Hollandem nad zadaniem wykreślenia czwartego koła styczego do trzech danych i zadawała się Euklidesowym sposobem. Dalibóg, aż mnie przeraża ta uczoność. Składam więc hołd należny Euklidesowi, pani Skórzewskiej, Hollandowi, Pappusowi, Romanusowi i różnym innym *usom*.

A teraz mam wam donieść o stracie jaką wystawa sztuk pięknych poniosła w tych czasach. Wiadomo jak są cenione przez publiczność obrazy p. Simmlera. Dla widzających wystawę bywają one niemałą przynętą. Wielkie nowe kompozycje zjawiają się u nas dosyć rzadko, wymagają one bowiem niemało czasu i pracy, więc na pojawienie się każdego takiego obrazu, miesiące, lata czekać trzeba. Ale oprócz wielkich obrazów historycznych, p. Simmler wykonywa także i portrety, które są bardzo cenione i zasługują na to z przyczyny wielkiego podobieństwa, umiejętnego wykonania, a mianowicie sumiennosci, jaka utalentowanego artystę w najdrobniejszej, w najlepszej nawet jego pracy nie opuszcza. Owóż kilka portretów przez siebie wykonanych, chciał p. Simmler posłać na wystawę; zaszła jednak opozycja ze strony dam z których te portrety zdejmowane były. Żadną miarą nie chciały one przystać na to, ażeby rysy ich stały się celem publicznej *ekshibicyi*.

Nie mamy wprawdzie żadnego prawa potępiać tego postanowienia. Sprzedany portret przestaje już być własnością artysty, i osobie która go kupiła wolno z nim robić co się podoba; są jednak wymagania sztuki powszechnie i oddawna uswiecone zwyczajem, które na właścicieli bardziej odznaczających się prac artystycznych wkładają niejako obowiązek dozwolenia aby ogół z nich korzystał. Nie wątpimy że powodem jaki wpłynął na postanowienie dam o których mowa, jest zbyt uczynna ich skromność; sądzą one może iż uczucie to byłoby niejako obrazem przez wystawienie ich portretów na widok publiczny. Ależ taki artysta jak p. Simmler wie dobrze co robi. Niewątpliwie chcąc przyozdobić wystawę, wybrał on portrety które łączą w sobie *wszelkie warunki piękna pod każdym względem*. Niema więc obawy żeby surowa krytyka srożyła się nad temi obrazami, owszem spodziewałoby się należało przeciwnego zupełnie wrażenia, pędził bowiem artysty umiał w tych swoich dziełach odtworzyć piękną naturę w całym jej blasku. To nie martwa fotografia, która niewolniczo nasładowuje rysy bez żadnego najczęściej wyrazu albo też nadaje twarzy odcień przymusu i niezadowolnienia, z powodu koniecznej nieruchomości i wymuszonej postawy, jaką zachować trzeba podczas zdejmowania portretu: — to dzieło sztuki w całym znaczeniu tego słowa, z myślą na czoło, z blaskiem w oczach, z przyjaznym albo figlarnym wyrazem na ustach, z życiem prawdziwem, codziennem, malującym się w każdym rysie, w każdym zagięciu, w postawie, w ułożeniu, w osobie całej. A jednak fotografie tychże samych dam istnieją setkami, każdy może je oglądać u fotografów, w umyślnie przyrządzonych do tego pudełkach, a co większa, nabyć za parę złotych i posiadać u siebie w formacie biletów wizytowych. Więc to nie uwłacza, a portret olejny uwłacza? Dlaczegoż taka kłątwa na prace p. Simmlera? Gdyby wystawa sztuk pięknych żądała portretów fotograficznych tych pań, mogłaby ich natychmiast nabyć kilka, kilkanaście może, w różnych formatach, a p. Simmler nie może wyblagać tego, drobnego ustępstwa, które przecież nie dla niego, ale dla sztuki się czyni i które na wystawach paryżkich i londyńskich uważane jest za rzecz najwzyczajniejszą w świecie. Tém śmielej się do dam wspomnianych odzywamy, im bardziej przekonani jesteśmy, że tylko chwalebne może w pewnym względzie, choć niewłaściwie zrozumiane, uczucie skromności nie dozwala im prosić artysty zadosyć uczynić. (1). A

(1) Nie dzielimy w tym względzie zdania naszego kronikarza. Portrety przedewszystkiem są własnością rodzinną; ogół więc wtedy tylko ma do nich prawo, gdy przedstawiają osoby znane krajowi z nauki, talentu i zasługi. Odnosi się to zarówno do wizerunków ręcznie wykonanych, jak i do fotografii wszelkiego rodzaju, których sprzedaż, a nawet wystawianie bez wiedzy osób interesowanych, jest zawsze nadużyciem. Sądźmy że owe damy, co pozwolić nie chciały aby portrety ich oglądano na wystawie sztuk pięknych, odmówiłyby niezawodnie i prawa wywieszania swych biletów fotogra-

jednak młodość, świeżość, wdzięk, piękność jed-
nym słowem, są przymiotami, których oglądania
pozbawiać ogółu nie należy; są one własnością tego
ogółu, jak promień światła, jak woń kwiatu, jak u-
śmiech wiosenny. Bądźcież więc miłościwie, wy kwia-
ty świetne, coście na łonie miasta naszego wyrosły;
dopóki uśmiech wiosennego albo letniego słońca świe-
ci nad wami, nie pozbawiajcie nas, lubowników te-
go wszystkiego co piękne, przyjemności której się że-
brakom nawet nie odmawia. Spłaćcie dług sztuce, a
stokrotnie nagrodzi was za to, bo takimi, jakimi
jesteście obecnie i jakimi odtworzył was pędzel u-
talentowanego artysty, pozostaniecie jeszcze na dłu-
gie czasy, choć nawet wiatr ów jesienny, pod które-
go technieniem żółkną liście, a kwiaty tracą barwę
swoje, przejdzie ponad wami, zagasi blask waszych
oczu i świeżość ust waszych przymiotami. A wówczas
spojrzawszy na pracę p. Simmlera, wspomnicie, z we-
stchnieniem może, o minionej przeszłości, której w tych
portretach ślad wieczny dla was pozostanie.

Do jednej z tutejszych księgarni przed kilkunastu
dniami zgłosił się po kupno książek nauczyciel ja-
kiś duchowny, z dwoma małymi chłopczkami. Tra-
fem znajdowałem się tam właśnie. Na twarzach dzie-
ci uderzył mnie wyraz pojętności. Książki im poda-
wane zajmowały ich, widocznie chłopczki owe chę-
tne były do nauki. Więc też księgarz wszedł z nimi
w rozmowę. Lecz o ile ujmująca ich powierzchow-
ność przemawiała za nimi, o tyle my wszyscy tam
obecni zostaliśmy zgorznięci, słysząc te dzieci polskie,
przemawiające po polsku akcentem tak cudzoziem-
cznym, że zaledwie zrozumieć je można było. Wido-
cznie polski język został im przepisany jako ostatni
w planie nauk; postanowiono z nich zrobić najprzód
Francuzów, Niemców, Anglików, a mowę polską po-
zostawiono na szarym końcu, jeżeli czasu starczy a
ochoty stanie. Chłopcom nie dziwić się, idą oni tak
jak ich zwierchność domowa kieruje; na tej zwier-
chności też cała wina leży. To cudzoziemskie wycho-
wanie niemało już nam zrzędziło szkody, przekształ-
cając rodaków naszych w jakieś kosmopolityczne isto-
ty, szukające poza krajem szczęścia i celu życia, a
pomiatające wszystkim w rodzinie. Bogdajby ci mło-
dzi ludzie, wcześniej upamiętawszy się, innym poszli
torem. A czynimy tę uwagę w nadziei, że dojdzie o-
na do osób interesowanych, a może wpłynie na za-
patrywanie się ich w tej sprawie. Cudzoziemcy obejdą
się bez nas, mają oni dość podpor w kraju swoim,
a dla nas nadzieja pozyskania jednego więcej oby-
watela oświeconego i kochającego kraj, zawsze jest
pożądana.

Niestety! ubiegły nas gazety w sprawozdaniu o dok-
toryzacji w tutejszej szkole głównej p. Ksawerego
Pasiutewicza; nie będziemy więc opisywać szczegó-
łów, fakt tylko zaznaczymy. Publiczna ta uroczystość,
pierwsza jaka u nas od tylu lat miała miejsce, ściąg-
nęła mnóstwo osób, biorących chętnie udział w tém
wszystkiem, co tylko postęp światła w kraju naszym
wskazuje. Światło bowiem, to byt, to przyszłość, to
nadzieja kraju. Nie było wprawdzie ani tog, ani bi-
retów, ani łacińskiego języka w takich razach używa-
nego; ale zachowano resztą wszelki obyczaj wiążący
się z podobnemi uroczystościami. Urzędowe rozdawa-
nie najwyższych stopni naukowych zyskało u nas
prawo obywatelstwa i weszło w czyn. To właśnie
jest pożądanem, reszty dokona doświadczenie, którego
brak pierwsze kroki stawiane na dawno już zanied-
banej drodze czyni zawsze trudnemi.

Dziwny w tych dniach widzieliśmy rodzaj targu.
Było to na Wołowej ulicy. Pewien poczciwiec potrze-
bował nabyć nie pamiętam już jaki sprzęt domowy.
Handlarze starozakonnici ciągnęli go do dwóch sklepów.
Kupujący się wahał, nie umiejąc widać sam rozstrzy-
gnąć, któremu ze stręczonych handlów dać pierwszeń-
stwo. Poczęła się więc Homerowa scena. Rudy Pa-
trokl z zęzowatym Sarpedonem zawiązali walkę na
języki. Od wymysłów przyszło do rąk. Bój trwał
zajadły, podczas kiedy ten o którego walka się toczy-
ła, założywszy z zimną krwią ręce, przypatrywał się
jój kolejom, z zamiarem obdarzenia zwycięzcy swoimi
łaskami. Nareszcie padł Sarpedon, a triumfujący Pa-
trokl poprowadził tego, o którego bój się toczył, pod
swoją namiot, to jest do budki sklepowej. Walka trwa-
ła dwie godziny, targ przyniósł dwadzieścia kilka
groszy. Ileż to razy i w dziejach ludzkości zdarzały
się takie walki bezowocne!....

ficznych, gdyby ich o to pytano. I doprawdy wolimy aby nie-
wiasty nasze w tej mierze pozostały jaknajdłużej parafian-
kami, wstydzącemi się ścierać oczy ciekawych tłumów choćby
tylko na swój wizerunek, niż żeby *po europejsku* rade były
pisać się publicznie z swoimi wdziękami. Traci na tém
może sztuka, ale zyskuje prostota obyczajów. (Przyp. redak.)

OBRZĘDY WESELNE LUDU

W WILKOMIERSKIEM.

przez

Mściława Kamińskiego.

Nigdzie może to przysłowie: co kraj, to obyczaj, tak obszernego nie ma zastosowania, jak u nas na Litwie. Tu nie tylko w każdej gubernii, w każdym powiecie, lecz nieledwie w parafii każdej znaleźć można wydatne różnice, tak pod względem ubiorów i języka, jak niemniej zwyczajów i obyczajów. Tę różnicę uważać należy za wynik charakteru Litwina, który nierad się wychyla poza obręb swój wsi i parafii i uporczywie raz przyjętą wiarę i obyczaj chowa. Gdybyśmy szerszej chcieli zastanowić się nad tym przedmiotem i gdybyśmy nade wszystko posiadali porównawczy opis zwyczajów wszystkich okolic kraju naszego, niejednym zapewne znalazł się fakt, udowadniający nasze twierdzenie. Znajdujemy np. w Litwie zaniemieńskiej obrząd postrzyżyn, który, jak wiadomo, był spólny narodom słowiańskim, a którego jednak w głębi Litwy wcale nie ma. Toż samo da się powiedzieć o rozmaitych modyfikacjach ubiorów, piosnek i obrzędów, które w jednych miejscach są zachowane w całej swój nienaruszoności, w innych zaś noszą na sobie widoczne piętno przyswojenia lub naśladowania. Toż samo rzec można i o języku, który zachowując w niektórych miejscach pierwotną swą czystość, w innych każe się domyślać wpływów polskiej lub ruskiej, a nawet niemieckiej mowy.

Lud którego weselne obrzędy zamierzaliśmy opisać, jako usadowiony w samym, że tak powiem, sercu Litwy i, o ile to być może w dziewiętnastym wieku, odsunięty od obcych wpływów, najlepiej zapewne przechował swą narodowość, a więc i obyczaje, będące najwymowniejszym jej wyrazem. Jeżeli, ulegając zwyczajnemu biegowi rzeczy ludzkich, wielce się one odmięły od czasów Kiejstuta i Jagielly, to nie tak skutkiem obcych wpływów lub wynarodowienia, lecz raczej z tej prostej przyczyny, że nie niema trwałego

pod słońcem, że duch tylko jeden trwa, materya zaś musi ulegać nieustannym przemianom; inaczej życie nie byłoby życiem. Chrystyanizm też niejedną zapewne ceremonią wyrzucił, (np. staro-pogańskie ślubne obrządki), niejedną barbarzyński zwyczaj przestoczył

tu i ostrość zarysów, nowych mu wdzięków przyczyniając.

Pomimo jednak całej nienaruszoności litewskiego ludu, obawiać się należy, aby to co się kilku stuleciom oparło, nie uległo wszechwładnej reakcyi dziewiętnastego wieku. Tém więc uzasadnioną wydaje się ta nasza obawa, że dziś już gdzieś spanoszony włościanin swą pocziwą samodzielną świtkę na surdut zamienia; a w wielu też miejscach szulerka i próżniactwo z pańskich podwojów rade pod strzechę kmiotka zazięrać poczynają. Nawet pieśń gminna, ta arka przymierza każdego narodu, kryje swe wstydlive oblicze przed rozbujalą, hulaszczą, w ulicznych ściekach zrodzoną piosnką. A cóż mówić o tych nieszczęsnych chłopkach lub dziewczętach, którym los nienawistny służbę dworską przeznaczył?

My, co w mowie, obrzędach, obyczajach i zwyczajach każdego narodu, przywykliśmy dopatrywać jakiś boski i wielki pierwiastek, przestąpmy śmiałym krokiem próg tej czarowniczej świątyni. Tu skamieniała przeszłość bratnim na nas okiem pogląda; tu przymioty i wady przodków naszych, ziemską maską nieosłoniętą, w wyraźnych jaśniejszych zarysach; tu w głębi ich serca wyczytasz łatwo stopień jaki naród zajmował w cywilizacji i uobyczajeniu; tu wreszcie każdy kamień zrozumiałym do ciebie przemówi językiem.

Obrzędy weselne wszelkich ludów, zostających jeszcze w dzieciństwie, są prawdziwie narodowym dyalogiem. Wszystkie bowiem obrzędy ludowe za nic innego poczytywać nie należy, jak za rodzaj symbolicznego dramatu. Nie wyda się to twierdzenie paradoksalnym, gdy bacznie okiem zajrzymy w odległą przeszłość. Czyliż bowiem w kształtowaniu się ludowych pojęć, na pierwszym miejscu nie dostrzegamy owych dyalogów zwanych mysteriami, które nie wychodzą zrazu poza obręb kościoła, przeszły następnie na deski przelodnych teatrów, by podnieść się wkrótce do godności sztuki i poezji? Lubo wielką znajdujemy różnicę pomiędzy najprostszymi nawet pod względem układu takowemi mysteriami i najzawilszemi weselnymi obrzędami, zawsze jednak niepodobna



Młodzieniec podaje swą wybraną obwarzanki. (Rys. z nadesłanego szkicu Kostrz.).

(kunica): te wszelako jego reformy przyrównały można do mistrzowskiego pędzla, którego użyto do poprawienia starożytnego obrazu. Nie niszczy on najwydatniejszych kształtów pierwotworu, nie zacięra udatnych jego rysów, lecz łagodzi jaskrawość kolory-

nośnych teatrów, by podnieść się wkrótce do godności sztuki i poezji? Lubo wielką znajdujemy różnicę pomiędzy najprostszymi nawet pod względem układu takowemi mysteriami i najzawilszemi weselnymi obrzędami, zawsze jednak niepodobna



PAŃSTWO MŁODZI JADĄ DO DOMU. (Rysował z nadesłanego szkicu Pillati).

nie dojrzyć wspólności ich pochodzenia i wielkiego między niemi powinowactwa. Pierwsze były utworem, że tak powiem, oderwanym, drugie poczytywać należy za przejaw życia, życia nadewszystko codziennego; tamte były fantastycznym obrazem jakiegoś szczególnego wypadku, te niby normą ogólną wszystkich podobnych chwil życiowych. Formę zaś, podział i znaczenie tu i tam znajdujemy jednakowe: toż samo następstwo akcji od rzeczy prostych do coraz więcej złożonych, toż samo ugrupowanie się scen podrzędnych obok głównej, będącej niby *critérium* i zawiązkiem całego utworu, toż samo wreszcie zmyślenie nazw i ról. Trudno tu wprawdzie dopatrzeć jakiejś nazwy lub estetycznego piękna, lecz wcale nas to nie zadziwi gdy zważym, że warunkiem poezyi jest dojrzałość umysłu, a tej ostatniej niepodobna wymagać od ludu zostającego w dzieciństwie umysłowym, w dzieciństwie społecznego rozwoju i życia. Napotykamy tu natomiast na każdym kroku symboliczną cechę początkujących umysłów jest u-zmysławianie oderwanych pojęć. Wiele z tych obrzędowych szczegółów jest dla nas nierozwiązaną zagadką, do której jeszcześmy klucza nie wynaleźli. Czyż wielowiekowe mgły nie miały czasu zgęścić się nad niemi w czarne, nieprzejrane chmury? A jednak gdyby się udało podnieść tę ciemną oponę, kto wie czybyśmy nie znaleźli w tych faktach jaśniejszą wypisaną przeszłość, niż w najautentyczniejszych pomnikach i kronikach. Prawdę tę uznano i wzięto się do pracy gdzieindziej, lecz u nas... i ta niwa, jak wiele innych, leży jeszcze odłogiem.

Pierwszym aktem weselnych obrzędów, są właściwie zamówiny czyli oględziny. Zwykle mają one miejsce w jakimś sąsiednim miasteczku na kiermaszu, np. w Wilkomięrz na świętych Piotra i Pawła, lub w Kowarsku na świętego Jana. Tłumy młodzieży obojg płci, ze wszech stron zgromadzonej, tu zabiierają znajomość, tu wypatrują doczesne towarzyski lub towarzyszy swojego żywota. Podziły matrony wielką tu (jak i wszędzie podobno w takich razach) odgrywają rolę: one dobiierają młode pary i starają się je zbliżyć. Jednakże w bardzo rzadkich tylko razach młodzieniec bierze żonę z odległych wsi; odległość milowa już się uważa za przestrzeń zbyt daleką, a więc niedogodną i wielkich zachodów wymagającą. Pochodzi to z zasiedziałego charakteru Litwina, który wychyliwszy się o kilka wiorst za swoje skiby, już jest nieswój, już go coś korce i nudzi, i uważa się jakby w obcym zupełnie kraju. Niech mu, oddzielonemu od swoich, dają najlepsze wygody, niech

spija ulubione *alus* (piwo), a jé słoninę, — nic to nie pomoże, tęsknota osiadzie na jego czole, smutek zagnieździ się w sercu, a poglądając w stronę swoich pól i lasów, mówi z westchnieniem: *czynaj nie ramul* (tu nie wesoło). To właśnie się przyczynia do owej krzywdzącej opinii, jaką wyznają niektórzy obywatele, że chłop litewski nie ma najmniejszego sprytu, że jest do niczego niezdatny i t. d.

Jakkolwiek zbitcie tego zdania przekracza zakres pracy naszej, nie możemy jednak obojętnie tej kwestyi pominąć. Litwin na pańszczyźnie jest opieszalszy — zgodził, lecz czyliż obcym jest dla nas ten fakt psychiczny, że więcej się człowiek czuje obowiązany za swe własne długi, niż za te których początek gdzieś niknie w dziejowej pomroce? A im odleglejsze są te czasy, tém też więcej zacięra się w umyśle dłużnika

gospodarną dziewczoje, (bo na te przymioty szczególnie zważają w wyborze małżonki), nie oświadcza jęj zaraz swoich chęci, lecz wybiera (zwykle ku jesieni) swata, który w świątecznej sukmanie, z baryką lub flaszą gorzałki, jedzie w najbliższy wtorek do wsi, w której się wybrana znajduje. Zauważmy tu, że wybór dni gra nieposlednią rolę w obrzędach ślubnych. Każda z głównych scen tego dramatu nie może się inaczej, jak w pewnym, oddawna ustanowionym dniu odbywać. Jestto, zdaje nam się, cechą wszystkich ludów, do których światło cywilizacji przystępu nie miało, że szczególnie przywiązują znaczenie do nieznaczących szczegółów i drobiazgów.

I tu, jak wszędzie, przebija się wykrętna natura naszej pierwszej rodzicielki Ewy. Lubo zawayczaj jakiś niepojęte przecucie szepnie dziewczynie o przy-

byciu tak pożądanego gościa jakim jest swat, przecież stara się okazać najzupełniejszą obojętność, nieledwie wzgardę dla całej płci meżkiej i zakasana do kolan, (może i to pod rubrykę kobięcych strategij podciągnąć należy,) z zadartemi rękawami koszuli, ścięra, zamiata, myje, sprząta, czyści, skrobie, szoruje, słowem pracuje za czterech — rzekibyś Danaida, dla której wyraz spoczynek jest wcale niepojętym. Jednak bacznym dostrzegacz w samém tém zaniechaniu dostrzeżby niemalą dozę zalotności; jakoż gładko zaczesane włosy i staranniejszą niż zwykle umytą twarz, najlepszym są tego dowodem. A co się tyczy pracowitości, to jest rzeczą niezawodną, że gdyby codziennie podobnie mili goście przyjeżdżali, wieśniaczka litewska przewyższyłaby wszystkie inne w skrzętności, oprzątywaniu i gospodarstwach zatrudnieniach.

Swat tymczasem toczy z rodzicami obojętną rozmowę o ciężkich czasach, nieużytości dziedzica, srogosci ekonomy, zdzierstwach arendarza i t. d., nie spuszczaając jednak z oka dziewczyny, której przymioty wychwała, i wszelkimi siłami usiłuje zapoznać ją z zaletami swojego klienta. Wreszcie powstaje z uroczystą powagą i oświadczywszy cel swojego przyjazdu, bez wybiegów, bez wykrętów, pokornie o rękę dziewczyny prosi. (1) Z tą prośbą łączy, jako *corpus delicti* swojego poselstwa, przywiezioną gorzałkę, której przyjęcie lub odmówienie przychylną lub nie oznacza odpowiedź. W pierwszym razie interes jest skończony, sprawa zapita, a córka przyrzeczona. Wo-

(1) Oto jest zawsze jednakowe przemówienie swata: „U starego Imbrassa z Wołoszyn, jest młody gołąb, jak księżyc jasny, bięda tylko że niema dlań gołąbki. Ależ jaki gołąb! jaki gołąb! Za górami, za morzami słyszeliśmy że macie gołąbkę. Czy nie możnaby więc połączyć te gołąbki? Tożby dopiero było gołębiąt białych, złotych i dyamentowych!



MATKA PANA MŁODEGO SPOTYKA NOWOŻEŃCÓW. (Rysował z nadesłanego szkicu Kostrzewski).

poczucie obowiązku; bo i zkąd zresztą, nie mając oświaty, ma wiedzieć o jakichś tam umowach przed kilką zawartych wiekami? Wynika z tego przekonanie, że nie go, krom pańskiej przemocy, nie obowiązuje do posług dworskich, a w takim razie możnaż wymagać po nim takiej gorliwości, jakby na swoje i swojej rodziny utrzymanie pracował? Że jest niezręcznym lokajem i posługaczem, to również nas dziwić nie powinno — jest to cechą wszystkich prawie ludów z Litwą spokrewnionych, albowiem te narody, jak mówi Mickiewicz „nie są stworzone do lokajstwa.“ Przenaczeniem naszego kmiecia jest uprawa roli — roli przedewszystkiem własnej i kraju własnego; wyrwać go z tego stanu, znaczyłoby to uszczknąć kwiat z macierzystej łodygi.

Jeżeli młodzieniec znajdzie i upodoba skrzętną i

la rodziców, jest wolą córki, i nie słyszeliśmy nigdy przykładu, aby kiedykolwiek córki, a nawet synowie stawili swoim rodzicom opór. Nieograniczona władza rodziców, ten zbytek czasów patryarchalnych, dotrwała dni naszych prawie nienaruszenie, i jeżeli gdzieś zasłyszec można o krnąbrności dziatwy względem rodziców, o zwadach, klótniach i niesnaskach, jakie pomiędzy pierwszymi a drugimi miejsce mają, to jesteśmy prawie przekonani, że należy je raczej policzyć do spraw codziennych, powszednich, niż do tak ważnych spraw żywota, jak wybór męża lub żony. Tu rodzice odzyskują berło, a dzieci z pokorą swe losy w ich rękę składają.

Nie nad to naturalniejszego. Kmiotek nasz bardzo młodo wstępuje w związki małżeńskie, nie ma doświadczenia ani żadnych zasad, musi więc ulegać kierownictwu tych, którzy dzięki pierwszemu, wyrobili sobie drugie, i prócz tego najzupełniejszym jego cieszą się zaufaniem; i tąd łatwiej mu to przychodzi, iż rzadko kiedy pojmuje prawdziwą miłość, a rzadziej jeszcze tak dalece rozpuszcza wodze swym namiętnościom, aby ich jednem żelaznym słowem „nie można“ pohamować nie zdołał. Co więc w warstwach wyższych należałoby uważać za wybryk przeciwny naturze i rozumowi, tu staje się właśnie najlogicznym następstwem praw boskich i ludzkich. Ztąd też i dziewczę przywołane, udając najprzód niewiadomość o co rzecz idzie, a skoro pozna prawdziwą przyczynę, starając się okazać swój wstręt do małżeństwa i do wódki którą jej podają, jakby rzeczywiście i jednem i drugą gardziła, gdy się dowie o woli rodziców, odpowiada z pokorą, że ich wola jest jej wolą.

Zaiste warto widzieć dziewczynę przy tej odpowiedzi. Ani pióro, ani pędzel, ani fotografia nie zdołałyby jej przedstawić taką, jaką jest rzeczywiście. Trzebaby chyba to wszystko zjednoczyć, a i tak nie wiem, czyby się uchwyciło tę postać pełną zakłopotania i jakiegoś udanej niechęci, skrobując palcem mech kurnej chaty, stojącą tyłem do swata, bokiem do rodziców i odpowiadającą na ich zapytania swoim niezrównanem:

— Każna? (Któż wie?)

Filozofowie zauważali, że oprócz języka myśli, człowiek ma język namiętności czyli uczuć; lecz tego, o ile wiemy, żaden w nich nie przewidział, że są w języku ludzkim pewne wyrazy, streszczające całą jego istotę, które są niby odzwierciedleniem duszy człowieka, że wszystkimi jej cechami i przymiotami.

Takim właśnie wyrazem jest owo maluczkie słówko — *któż wie?* Rzekłbyś cała natura niewieścia, jej niewinne wybiegi, jej słabość i moc zarazem, jej chęci, pragnienia, a zarazem niepewność swojego losu, jej myśli, uczucia, rozum, — słowem wszystko w tym wyrazie, niby w ognisku soczewki optycznej, odbiło się i odmalowało.

Nieraz już stawiono pytanie, czy można znaleźć w najniższej klasie społeczeństwa miłość prawdziwą? czy kmiotek zdolnym jest do kochania?

Odpowiedź na to łatwa. W bardzo tylko rzadkich razach miłość chłopca naszego wyjdzie z granic prostej skłonności, w bardzo rzadkich tylko razach wznieść się umie nad rzeczywistość i nieugaszoną płomieniem rozgorzeć. Zależy to od wielu przyczyn: klimat, nieustanna praca, łatwość ożenienia się, a nadewszystko nierozbudzone wyższą oświatą namiętności — niepoślednią pod tym względem grają rolę. Bywały jednak przykłady, że młodzieniec, nie mogąc wyprosić u srogiego dziedzica ręki swej ulubionej, uciekał się do samobójstwa, i to właśnie dowodzi, że miłość zawsze i wszędzie jest jednakową.

Wreszcie przyrzeczenie otrzymane. Na zapicie dobrej sprawy częstują dziewczynę gorzałką. Lecz i tu zwyczaj przepisują jej pewne fortele: nie da się odrazu uprosić — owszem, długo się wzbrania i niby sprzeciwia, aż wreszcie z wybornie udanym wstrętem, zastaniając oczy lewą ręką, przytyka kielich do ust prawą, z parą razy pokosztuje, zmarszczy się, skrzywi, splunie i spełniwszy grenadyerskim łukiem napój, ucieka skwapliwie do komory. Na tąd się kończą oględziny. Przystępujemy teraz do drugiego aktu ślubnych obrzędów.

W niedzielę następną, zaraz po mszy, w towarzystwie swata, przyjeżdża pan młody w progi swojej ukochanej, przywoząc dla niej i dla jej rodziców dary, na jakie go staje. Jest to rodzaj zaręczyn, a właściwiej ostatecznych umówin o przyszłym ślubie, zapowiedziach, weselu, posagu, (krajczys) i t. d.

Niewinne Litwy obyczaje bynajmniej nie zmieniają stosunków zaręczonej pary, ile że Litwin już z samej swej natury niewielką do miłosnych zapałów skłonność objawia. Nigdzie może skrzydlaty bożek miłości tyle nie napotyka oporu, co w tej krainie.

Następują nowe libacje, tak na nieszczęście nierozłączne ze wszelką uroczystością naszego chłopca. Jest to skutkiem spodłonej, jak mówią, natury jego? Nie zaiste, wierzymy, że człowiek czy tron posiadzie, czy wyrobniaka sukmanę przywdzieje, zawsze pozostanie człowiekiem, więc istotą mającą swoje wady i przymioty; tych zaś nie odziedzicza z urodzenia, lecz nabywa je w życiu, z przyjaznych lub szkodliwych wpływów. Niedosć bowiem że jarzmo schyla czoło człowieka ku ziemi, że go upadła i odbiera mu boską naturę; i na to także pomnieć należy, że w każdym ważniejszym dla niego dniu, człowiek pragnąłby wygnąć ze swej duszy wszelką czarną myśl i, o ile można, pokazać się wesołym. Otóż jedynym skutecznym na to sposobem jest, w jego przynajmniej rozumieniu, trunki. Nie przeczmy że lekarstwo niebezpieczniejsze od choroby, lecz i to wiemy, że gdzie niema oświaty, tam niema wolnego wyboru.

Odtąd rozpoczyna się epoka nieustannych darów: narzeczony obdarza narzeczoną, ta narzeczona, oboje swoich rodziców i powinowatych, którzy także wzajemnością odplacać się winni. Niema nikogo co by nie otrzymał jakiego daru, niema nikogo co by nie ofiarował. Ztąd wypływa równowaga pomiędzy dającymi i odbierającymi, i to właśnie jest przyczyną, że darów tych policzyć nie można na karb chciwości, tylko pocztać je wypada za wyraz obustronnej życzliwości i przyjaźni. Jest to symboliczna mowa pierwotnych ludów — mowa prosta lecz zrozumiała.

Narzeczona, tak dla zjednania sobie rodziców narzeczona, jak niemniej dla okazania im swoich zdolności, posyła dla swej świekry stan lub więcej płótna własną utkanego ręką. Nie zapomina też i o innych domownikach. Wtenczas to wieść o zaręczynach szybko się rozbiega po całej wsi, a życzliwi sąsiedzi i krewni przyrzekają dary potrzebne na nową gospodarę zawiązującego się stadła. Zamożniejsi przeznaczają na ten cel już owcę, już kozę, mniej zaś zamożni ofiarują kury, gęsi lub warzywo.

Czas pomiędzy zaręczynami i weselem spływa na rozmaitych przygotowaniach: tu mają miejsce zapowiedzi, wybór družbów, swaci, poselstwa do dworu, jeżeli ten istnieje i t. d.

Co się tyczy wyborów weselnych urzędników, te nienazbyt łatwo następują: największa mianowicie trudność zachodzi w uproszeniu jakiejś podżytej matrony na swacie. Ten bowiem urząd nietylko iż wymaga przezorności i doświadczenia, lecz nadewszystko pociąga za sobą niemałe, jak na lud prosty, wydatki. Pomimo to jednak zamożniejsi włościanie starają się dobrać dwie swacie, jedną od młodego, drugą od młodej. One wspólnie ze swatami marszałkują ochoczym weselnym zabawom, z tą wszelako różnicą, że do swata należy kierownictwo więcej powierzone, a do swaci cały wewnętrzny wesela zarząd. One pieką korowaj, gotują i smażą rozmaite pokarmy, robią z gorzałki ulubiony krupnik, opiekują się panną młodą, wreszcie są niby okrasą i solą godów weselnych.

Nie tak dawne jeszcze czasy, gdy do swata należały wszelkie weselne mowy i krótkie oracye, których ilość coraz się zmniejsza; dziś jednak, ponieważ rzadko kto je umie na pamięć, każdy komu się spodobą może się popisywać ze swoją erudycją. Swat gra natomiast ważną rolę przewodnika i mentora uroczystości i doskonale zwykle wywiązuje się ze swej roli.

Swat i swacia, to niby przybrani rodzice, których cała rzeczpospolita godowa wielkim szacunkiem otacza, a nawet i nadal wyraz swat lub swacia uważa się za pewien rodzaj powinowactwa, że nie powiemy pokrewieństwa, względem państwa młodych. Ojcowie i matki chrzestne, gdzieindziej tyle znaczenia mający, zdają się tu niższy od swatostwa stopień zajmować. To nas przekonywa jak wysokie rozumienie nasz lud o związkach małżeńskich posiada; jest ono wypływem wysokiego ubożyczenia, skromności i prostoty, albowiem stan małżeński nazwać można termometrem moralności społeczeństwa.

Lubo ilość družbów czyli młodzieńców (jonnikas) ustanowiona jest po dwóch dla młodego i tyleż dla panny młodej, jednak zwykle pierwszy ma ich do kilkunastu, a nawet i więcej. Jest to niby przyboczny orszak młodego, który w pewnych okolicach przybiera w tym uroczystym dniu miano księcia.

Przybrany w najlepsze świąteczne szaty, więc w kusy biały barani kozuszek, opasany rzymkiem o mosiężnej klamrze, buty z długimi cholewami i czapkę z przypiętą wiązką ruty, ten sam chłopak, któregośmy widzieli skurzonego pod batogiem ekonomy, dziś wygląda jakby nie ten sam; śmiało naprzód pogląda, śmieliej jeszcze drobnym mierzynkiem toczy i gromkim głosem wyspiękuje przekazane od prajców pieśni. Taka to jest różnica niewoli od swobody: pierw-

sza człowieka uwierzęca, druga bydlę nawet ucłowiecza.

A są jednak ludzie, którzy braterstwo włościanina, jego równość w obec prawa, jego wreszcie umysłowe zdolności, poczytują za utopię Baboeufów, Saint-Simonów, Fourierów; są ludzie, którzy w wyrazie „cham“ widzą streszczenie tego wszystkiego, co natura ludzka ma najbardziej podłego, nikczemnego, zwierzęcego. I tacy ludzie żyją w dziewiętnastym wieku!

Hość druzek, równie jak i družbów, nie jest stale określona: może być jedna, dwie, trzy, pięć, dziesięć i więcej; wszakże zawsze jedna z nich (zwykle bratanka) jest najstarszą i nieodstępną towarzyszką panny młodej. Ubiór ich podczas weselnych godów jest więcej niż świąteczny. Starają się wówczas jaknajstrojniej pokazać. Jedwabne, jaskrawe spódniczki i sznurówki, wstęgi, kwiaty, ruta, świecidełka, paciorki, korale, fałszywe perły, srebrne pierścionki — oto przydatki które starają się podwyższyć swe wdzięki, niebardzo, mówiąc nawiasem, dla nas ponętne, lecz niewątpliwie wybornie się zgadzające z niewybrędnym smakiem chłopca naszego. Na włosy rozpuszczone w dwa warkoczki, wkładają rodzaj dyademu ze wstążek i świecidełek, zwany *kaśnikas*. Ubiór ten jest przedmiotem szczególnych zabiegów każdej dziewczyny, i gdybyśmy mieli moc czytania w ludzkiej duszy, niewątpliwie w każdej dziewczynie, aż do dnia ślubu, znaleźlibyśmy wszystkie myśli wirujące, kręcące się, biegające około tego jednego wyrazu *kaśnikas*. I wyznać należy że ten strój wcale nie jest bez wdzięku; wolałbym go nawet niż modne czupiradła paryzkie.

W ubiorze panny młodej i druzek niema prawie różnicy: toż samo należy rozumieć o panu młodym i jego družbach. W niektórych okolicach pozostał zwyczaj, że jeden z tych ostatnich odgrywa rolę błazna, śmiechy całe grono weselne, przewraca koziołki, prawi trzy po trzy, śmieje się, tańcuje, śpiewa i wszelkimi siłami stara się pobudzić do wesołości. Nieraz temi dowcipkowaniem i samby Stańczyk nie wzgardził. Żelazne wszakże jarzmo rzeczywistości rzadko kiedy tak jest lekkie, aby się wesołości podnieść dało.

W niektórych okolicach Litwy i dziś jeszcze obchodzą tak zwany „wieczór dziewic“ (Merguwakaras), tu wszakże, dla niewiadomych przyczyn, zaniechano tego zwyczaju.

Lecz czas już przystąpić do samego wesela.

Jeszcze ciemno na dworze i kury ledwie piąc przestały, a już tak w chacie młodego, jak młodej, krzątania, bieganie, powszechne zajęcie. Pan młody, wespół ze swoją drużyną, czyści konie, uprząż, smaruje buty i niecierpliwie oczekuje pory wyjazdu. Panna zaś młoda również się krząta około swojego stroju, myje się, czesze, ubiera, czasem zapłaczę, lecz zwykle i przez łzy dopatrzeć można uśmiech wesela. Mało wprawdzie wygra na tej zmianie — tu była niewolnicą rodziców, tam będzie męża — lecz jest coś w naszej naturze, że zawsze nowe sitko lubim na kolku. Lecz oto przywdziała jedwabną fałdziastą spódnicę, żupan granatowy z amarantowemi włogami, upstrzyła głowę seciną różnobarwnych wstążek i wyczerkuje zbierających się powoli sąsiadów i sąsiadek. Ma się rozumieć że ci ostatni nie dają się prosić. Rzadko który z nich nie jest związany z rodziną nowożeńców węzłami pokrewieństwa lub powinowactwa; a przytąd każda zabawa, każda rozrywka, ileż ma uroku, ile wdzięku w jednostajnym życiu pracy i cierpienia naszego kmiotka! Nietylko więc z tej wsi, lecz nawet z sąsiednich, ciągnie na gody weselne wszelkiego wieku i płci ochoczy lud.

Czy z powodu ciasnoty miejsca, czyli też z innych przekazanych tradycją przyczyn, dziatwa drapie się na piec, a ich jasnowłose główki dziwnie uroczą na czarnym tle okoponych ścian i pulapu odbijają. Drużki, mając pośród siebie narzeczoną, zajmują ławy, zazwyczaj pod frontową ścianą stojące. Inne osoby albo biorą udział w weselnym przygotowaniach, albo też rozbite w różne grona i kupki, wesoły wiodą rozhovor o rzeczach najwięcej naszego kmiecia obchodzących, więc o pańszczyźnie, rekrucie, niurodzajach, panach, ekonomach, których, jak się łatwo domyslić, wcale nie cukrują. Bo też groźna, uzbrojona nahażem postać ekonomy, jest dla naszego ludu niby wskrzeszonym *Johdsem*. (4).

Wtąd rozlega się tętent koni wraz z wesołymi okrzykami młodzieży. Jest to znak przyjazdu pana młodego. We wsiach, osobliwie zamożniejszych, ta butna postawa kilkudziesięciu dorodnej młodzieży miłe sprawia wrażenie, a to tąd więcej, że wyraz niewolniczej pokory, rozlany nietylko na obliczu, lecz w całej postaci litewskiego kmiecia, tu, dzięki kilku

(1) Johds — to samo znaczy w mitologii litewskiej, co u nas szatan.

chwilom wesela, ustępuje miejsca męskości i otwartości. Nawet konik kurczący się pod ciężarem sochy lub obładowanego wozu, parska raźnie i tak śmiało stąpa, jakby czuł gdzieś zdala czaty Krzyżowca.

Nie tak łatwo jednak trafić do celu swoich pragnień! Bracia (czyli druzbowie) młodej, zamykają wrota i w obronę stają postawie. Po długich z obu stron sporach i prośbach, wychodzi marszałek czyli swat panny młodej, i następna zawija się rozmowa:

Marszałek. Kto tam?

Jeden z druzbów młodego. Goście niebywali.

Marszałek. A wielu was jest?

Drużba. Ile słońce ma promieni, piasku morze, liści drzewo, ile złości jest u pana, tylu nas młodych, rzeźkich chłopaków, bogato ustrojonych, na rumakach siedzących, słodkie słówka mówiących.

Marszałek. Czegoż wam potrzeba, jakich wygód, abyście godnie byli przyjęci?

Drużba. Potrzebujemy noclegu, zabawy, słodkich słówek, potraw. My i konie nasze znużone, trzeba więc dla nas białych łóżeczek, pulchnych poduszeczek, cienkich prześcióradeł, miękkich piernatów, śnieżnych obrusów, koniom stajenek, czapkom gwoździ, żupanom stołeczków, dla świecących bućków podłogi, a dla naszego księcia, księżycy światłego, słonecznej dziewicy.

Marszałek. Jeśli więcej o nic nie prosicie, wszystko się to u nas znajdzie. Wejdźcie w Imię Boże.

Pozwolą czytelnicy, że przerwiem na chwilę tok opowiadania, dla zastanowienia się pobieżnie nad niektórymi cechami tego dyalogu.

(Dokończenie nastąpi).

PRZEGLĄD POLITYKI ZAGRANICZNEJ.

22 maja.

Spór izby poselskiej w Berlinie z gabinetem dotąd załatwionym nie został. Z jednej strony, ministrowie opierają się na § 60 ustawy, protestują przeciw wszelkiemu uszczupleniu ich przywilejów i nie chcą uczestniczyć w pracach izby, z drugiej izba, odwołując się także do ustawy, twierdzi, że ministrowie powinni stawić się na każde wezwanie marszałka, który nadto może przerywać im mowę i wzywać do porządku na równi z innymi członkami izby. Uchwalone w tym duchu postanowienie nie przyniosło żadnych owoców i pozostało bez odpowiedzi gabinetu. W takim stanie rzeczy, izba uchwaliła wysłanie adresu do monarchy, z przedstawieniem całego położenia. Projekt adresu w ostatecznej redakcji przyjęto na posiedzeniu w d. 19 maja, z poleceniem p. Unruh przeczytania go na pełnym posiedzeniu. Bank und Hand. Ztg. doradza, aby przy końcu posiedzenia zapytać syndyków koronnych o stanowcze rozwiązanie kwestyi. N. D. All. Ztg. twierdzi, że wkrótce poselstwo królewskie surowo poleci izbie rozpocząć nowo swoje prace, obecna bowiem chwila dotyczy nie tylko dzisiejszego władcy, ale i wszystkich przyszłych następców.

Rząd francuzki otrzymał od generała Forey raport oraz dziennik szczegółowy wszystkich działań wojennych armii francuzkiej pod Pueblą. Oblężenie, prowadzone umiejętnie, wydało świetne rezultaty. Juarez obwarował Pueblę tak silnie, iż zdawało się że jest niepodobną do wzięcia. Dwieście dział miotających śmierć w szeregi francuzkie, rozpaczna obrona każdego fortu, każdego klasztoru i domu, przynosi wprawdzie zaszczyt odwadze Meksykanów, ale wszystko to nie zdołało powstrzymać Francuzów. Szalony zapęd piechoty, wsparty przernym działaniem artylerji i inżynierji, przełamał wszystkie zapory, i całe miasto prawie dostało się w ręce francuzkie. Niema wątpliwości że w tej chwili nawet ostatnie dwa forty Guadalupe i Loreto znajdują się już pewnie w mocy generała Forey, depesza bowiem z Kadyksu donosi, że w d. 12 z. m. Francuzi wypędzili Meksykanów na przedmieścia. O ile dotąd wiadomo, strata Francuzów nie przenosi kilkuset ludzi zabitych i ranionych, w tej liczbie wszakże jest kilku znakomych oficerów. Dla zapelnienia próżni i śpieszniejszego zakończenia wyprawy, korpus od trzech do dziesięciu tysięcy świeżego wojska udać się ma do Meksyku. Dzienniki twierdzą, że generał Forey po zajęciu Puebli odpocznie w tym mieście przez czas niejaki, a potem uderzy na stolicę. Upornie krążące pogłoski o zmianie ministerjum, nie zasługują na wiarę. Falszywą także była wieść o aresztowaniu marszałka Pelissier, jak to najwyraźniej się okazuje z listu

pisanego przez cesarza Napoleona, w którym ten monarcha zapewnia marszałka o swém niezmiennym zaufaniu i szacunku. Twierdzą że zaraz po ukończeniu wyborów, cesarz zwoła nowe ciało prawodawcze na posiedzenie nadzwyczajne i w mowie tronowej przedstawi obecny stan zewnętrznych i wewnętrznych stosunków Francji. Wybory ukończą się w d. 30 i 31 maja. Z powodu kilku zamachów, dokonanych na cudzoziemcach przez żołnierzy greckich w Atenach, poseł francuzki wystosował notę w tym przedmiocie do marszałka zgromadzenia narodowego. Odpowiedź rządu greckiego obiecuje surowe i prędkie ukaranie winowajców.

Sprawa duńsko-niemiecka zwracać zaczyna coraz silniej uwagę wszystkich publicystów. Dekrety króla Fryderyka VII, przyznają autonomią Holsztynowi, ale za to włączają zupełnie Szlezwig do składu reszty monarchii. Jak wiadomo, wszystkie rządy niemieckie oświadczyły się przeciw tym dekretem, Austria zaś zaproponować miała zbrojne zajęcie Holsztynu na zastaw, t. j. dopóki król duński nie odmieni postanowień w przedmiocie Szlezwiugu. Dzienniki utrzymują, że Prussy i Austria wezwą Danią na sejmie związkowym do cofnięcia dekrétów z d. 30 marca, w razie zaś nie uwzględnienia żądań, przystąpią do egzekucyi związkowej. Ten stan rzeczy poruszył prawodawców angielskich. Na posiedzeniu izby lordów, w d. 16 b. m. lord Ellenborough powstał na ambience roszczenia Germanii i zapytywał, jakie jest stanowisko rządu w tej sprawie. Lord Russell odpowiedział, że Dania nie dotrzymała przyrzeczeń z 1852 r., ale z tem wszystkiemi ani Anglia, ani Francya nie dopuszczają egzekucyi związkowej, chociażby czynnie wystąpić miały w obronie królestwa duńskiego. Deputacya grecka, bawiąca w Kopenhadze, dotąd jeszcze nie otrzymała stanowczej odpowiedzi w przedmiocie przyjęcia lub odrzucenia korony greckiej. Sprawa ta załatwiona być ma na konferencyi mocarstw opiekuńczych w Londynie.

Korrespondent dziennika wiedeńskiego Presse, donosi o zgodzie zaszłej między kardynałem Antonelli i ks. Merode. Ojciec św., złożony chorobą, przywołał swych ministrów i ze łzami w oczach wyraził im boleść jaką mu sprawiają ich rozterki, wspominając o zgorszeniu jakieby nastąpiło, gdyby jeden z nich opuścił służbę papieżką. Nazajutrz obaj ministrowie byli razem na obiedzie u papieża, który w dniu 11 maja opuścił Rzym, celem zwidzenia południowych prowincyj państwa kościelnego. Izba i senat w Turynie zajęte budżetem wojny i kwestyą wytepienia bandytyzmu w Neapolu. Baron Ricasoli wyjechał do Florencyi.

(Ind. Bel. France. Constitut. Schles. Ztg. Osser. Triest).

Ostatnie depesze. Berlin 19 maja. Wczoraj i onegdaj, ku wielkiemu zdziwieniu publiczności, zjawili się w komisji budżetowej reprezentanci ministerstwa marynarki. Na dzisiejszym posiedzeniu izby panów byli obecni pp. Bismarck i Roon, lecz zachowali milczenie.

Paryż 20 maja. France donosi z Puebli z d. 17 kwietnia, że prace oblężnicze posuwają się naprzód w pomyślnych warunkach: Książę Napoleon bawi w Egipcie. W Aleksandryi książę wręczył wice-królowi wielki krzyż legii honorowej.

Berlin 20 maja. Staats Anz. donosi: król w ciągu dnia onegdajszego i wczorajszego cierpiał bóle kurczowe w nerkach. Po dobrze przepędzonej nocy nastąpiło polepszenie. Dział stan zdrowia króla jest zadowolający.

Berlin 20 maja. Krążą pogłoski o cząstkowej zmianie gabinetu.

Londyn 19 maja. Lord Russell oświadczył, że admiralicya otrzymała rozkaz wysłania kilku statków wojennych do Matamoras, dla obrony okrętów angielskich od samowolnych konfiskat amerykańskich.

JAREMA,

studjum

Z WEWNĘTRZNYCH DZIEJÓW GALICYI,

przez

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg.)

Tego samego wieczora, kiedy na horyzoncie Nowejwsi zaczęły gromadzić się chmury i już kiedy niekiedy jasna błyskawica po ciemnym przemknęła się niebie, zdążył ku Nowejgórce samotny wędrownik szybkim krokiem.

Przelatujące błyskawice oświecały jego postać. Był to mężczyzna silnie zbudowany, o barkach szerokich, i mimo że siedział pod górę prosto się trzymający. Ubiór jego był dziwnego rodzaju. Na głowie miał czapeczkę niby urzędnika austriackiego, z daszkiem do góry zadartym. Surdut ciemnego jakiegoś koloru obcisła szeroką pierś jego aż pod samą brodę. Krótkie nieco i zbyt wąskie rękawy wskazywały, że pochodził z jakiejś tandety, albo był podarunkiem chlebobdawcy. Spodnie z jasnym paskiem należały jakby do ubioru wojskowego. Tegoż samego rodzaju były i tak zwane ciżmy, na górze rzemyczkiem sznurowane. Na grubym kiju, opartym na ramieniu, wisiał niewielki węzełek, który prawdopodobnie mieścił cały majątek podróżnego. Na to wszystko zarzucony był płaszcz szary żołnierza piechotnego, z świecącymi cynowemi guzikami.

Podróżny stanął pod górka, prawie na tém samym miejscu, na którym przed laty dwudziestą odbyła się scena w pierwszym rozdziale naszej powieści opisaną. Ale jakże inaczej tu wszystko dzisiaj wyglądało.

Wtedy na pochyłości tego wzgórka świeciło jasne słońce. Trawa była bujna i zielona, ptaszki świegotwały w pobliskich drzewach; pasące się trzody brykały wesoło, grono pastuchów zabawiało się różnymi figlami. A wśród nich była dziewczynka z jasnymi jak len włosy, co czarowała twarzą i oczami. A między młodemi chłopcami był jeden, któremu serce rosło, gdy na nią patrzył. Dla niej pobiegł on do dworu i wykradł złotego ptaszka... Pan dworu chciał go za to ukarać, Szymek przyniósł już kij; ale dobra dusza, urzędnik obwodowy, ujął się za nim i wyjednał mu przebaczenie... Mój Boże, jak to wszystko inaczej dzisiaj wygląda! Niema ani śladu po owój zielonej błoni. Czarne widać skiby pług pański tu porała, a trzoda gromadzka, która się tutaj pasła, zapewne gdzieś tam ryczy z głodu w stajni zamknięta. Ani żaden ptaszek nie ozwie się z piosenką: wszystko ucichło, zposępniało, ogłuchło. Niema tego ciepłego, bożego słonka, które wtedy tak mile przygrzewało. Tylko ciemne jakieś zarysy sterczą ku niebu, z ciemniejszymi pośrodku pasy; tylko wiatr gwałtowny tłucze po gałęziach drzew i łamie z łoskotem suche konary... Jakże to wszystko się zmieniło!

Podróżny ruszył dalej ku górze. Na samym szczycie stał duży, biały krzyż z kamienia, ogrodzony żelaznymi sztachetami. Za każdą błyskawicą świeciły się złoczone na tablicy pod krzyżem litery. Widać było że to krzyż nowy i że go postawiło żyjące jeszcze pokolenie.

Gdyby podróżny chciał przy nocnej błyskawicy przeczytać na czarnej blasze złote, świecące litery, byłby wyczytał, że ten krzyż postawiono: „Na pamiątkę zniesienia pańszczyzny w r. 1848. Ale podróżny wiedział o tém i bez czytania. On znał już dobrze kształt tych krzyżów, widział ich wiele po drodze, a na każdym czytał prawie jedno i to samo. Wiedział że to lud wiejski dziękował Bogu za łaskę w tym roku pamiętnym doznana, tém świętém godłem zbawienia!

I jakież wrażenie zrobił ten krzyż o krótkich, szerokich ramionach na naszym podróżnym, który stanął przy nim jak posąg, oparłszy się ręką o żelazną balustradę?

Podróżny prawdopodobnie należał kiedyś, a może i teraz jeszcze, do ludu, wrażenia więc jego nie mogły się o wiele różnić od wrażeń, jakie zazwyczaj sprawiał na ludzi ten pomnik „zniesienia pańszczyzny.“

On zapisał to tylko w swojej pamięci, że w owym roku przybył do gromady urzędnik cesarski i przeczytał im z siniego papieru: „że pańszczyzna znosi się, za co dziedzic z kassy państwa będzie wynagrodzony.“

Podróżny nasz stał długo oparty o krzyż, na którym przy nocnej błyskawicy błyszczały złote litery: „Na pamiątkę zniesienia pańszczyzny!“ Dészcz rześmym strumieniem lał z nieba, wicher tłukł o konary drzew, grzmot huczał w górze, a jasne błyskawice przelatywały ze wschodu na zachód. Podróżny stał przy krzyżu i na to wszystko nie zważał. Pograżony w dumaniu, patrzył osłupiałem okiem przed siebie.

Ileż to myśli natrącał ten krzyż w jego głowie!

Tam w dolinie stoi dwór biały; widać go przy nocnej błyskawicy. W jego oknach pali się jasne światło. Zapewne musi tam być wesoło. Na stole stoją misy z potrawami i różnemi bakaliami... A tam poniżej czerni się szereg chat wieśniaczych. W żadnym oknie światła nie widać, bo las zamknięty dla gromady, a oleju niema za co kupić. Ognisko tam

dawno wytłło, i ciepła strawa nie pojawi się na stole! Biedny chłop leży tam na gołym piecu; bezsenny przewraca się na wszystkie boki i prosi Boga, aby czempredziej zaświtała jutrzienka, aby przyszła godzina pracy, bo przy pracy zapomina się jakoś o biedzie.

Tak dumal podróżny, wsparty o krzyż kamienny, wystawiony ręką gromady „Na pamiątkę zniesienia pańszczyzny.“

Cóż jednak mogło w jego głowie takie myśli poruszyć?

Dwadzieścia lat minęło, jak wyszedł w świat z rodzinnej wioski swojej. Wyniósł z sobą boleść i gorycz, bo jakoś nieszczęśliwie powodziło mu się w tej wiosce. Żli ludzie, jak to mu razu jednego powiedział Huber, nastali na niego i wzięto go przemocą i oddano w rekruty. A któż to byli ci źli ludzie? Oczywiście nikt inny, jak mandataryusz współ z dziedzicem, bo bez wiedzy dziedzica nie się nie dzieje w gromadzie, jak to powiedziano przy lampce wina u ślepego Jośka, będzie temu lat dwadzieścia: I dlaczegoż to tak mu jakoś źle poszło na świecie? Bo był ubogim, był sierotą. A któż temu winien, że poddany we wsi ubogi, jeżeli nie dziedzic wraz z swoim mandataryuszem?

Tak mu przynajmniej nieraz mówiono przy szklance piwa u ślepego Jośka.

Dwór nie nauczył go niczego, a w kazarni nauczono go czytać i pisać. Biedne dziecię gromadkie po wypędzeniu ze dworu nie miało gdzie głowy położyć, a w kazarni dano mu porządny sztosak, (1) ciepły mundur, chleb i na rękę kilka krajcarów. Wprawdzie nieraz zapłakało się nad tym chlebem, nieraz krzyknęło z bólu, ale człowiek zapomina jakoś to, co czas zagoił, a pamięta tylko jasną stronę życia...

A życie to pełne było najrozmaitszych przygód. Wysłano go w dalekie kraje, za rzeki i góry! Tam widział tyle nowych rzeczy, o jakich w gromadzie nie miał wyobrażenia!

Najprzód był on żołnierzem, a stanowisko właściwe żołnierzowi austriackiemu, wpłynęło przeważnie na dzisiejsze jego usposobienie. Wysłano go do Włoch; potem był w Wiedniu podczas tamecznych wypad-



PODANIE WIANKA ŚLUBNEGO. (Rysował z nadesłanego szkicu Kostrzewski).

najbujniejsze jego marzenia. Miał kilkunastu żołnierzy pod swemi rozkazami, a to napelniało pierś jego dumą, że przecież w świecie do czegoś przyszedł. W piekarni Nowejwsi on musiał wszystkich słuchać!

Nie zapomniał on rad swego dawnego przyjaciela Hubera, który mu mówił, że jako żołnierz wysłużony może dostać urząd z pensją przyzwoitą. Skończywszy więc dwie kapitulacje, oglądał się za tym urzędem i za tą pensją przyzwoitą i znalazł jedno i drugie. Ponieważ żadnych nie posiadał nauk, umieszczono go więc jako kospistę za dziennym wynagrodzeniem w jakiejś kancelarii wojskowej. Dano mu kilka liber siwego papieru, tuzin piór i ogromny kałamarz. Jarema ułożył to wszystko symetrycznie przed sobą na czarnym stole i rozkoszował się w duchu, że jest jakby kancellistą.

Ale natura ciągnie wilka do lasu. Gdyby Jarema był Niemcem albo przynajmniej Czechem, byłby przyrósł do swego stołka przy czarnym stoliku, siedziałby długie lata, ażby wysechł jak pergamin i zgiął się jak obręcz we dwoje.

Ale Jarema był członkiem naszej gromady. Odwieczna ta instytucja była zawsze potęgą, obejmującą szerokiemi ogniwem wszystkich tych, co do niej należeli. Toż w każdym innym narodzie widzimy wydzielające się z gromady pojedyncze indywidualia, które rade do innych sfer przechodzą, jeżeli te sfery, według ich mniemania, leżą wyżej gromady. Chłop zaś nasz, jeżeli w wykształceniu swoim pewnej wyższej nie przekroczy linii, przedź lub później wraca zawsze do swojej gromady. Ma on pod tym względem coś z natury jelenia, który spłoszony ze swego legowiska, gnany przez psy po różnych parowach i werstepach, wraca napowrót do miejsca zką-

go spłoszono.

Silnym uczuciem ciągniony do gromady, uważa chłop nasz wszelkie wypadki swego życia, które go od miejsca urodzenia oddalały, za niefortunne, jak jeleni szczekanie psów, a wróciwszy do chaty ojczystej, pozbywa się czempredziej wszelkich nabytków, co do niego przyłgnęły w oddaleniu od gromady.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ków; nakoniec odbył kampanią węgierską, — a wszędzie znalazł żywioły podsycające tradycyjną niechęć syna ludu przeciw tym, w których widział swych ciemiężców.

Te tradycją z dalekich stron niósł z sobą nasz podróżny, oparty o krzyż, wystawiony przez gromadę. Toż straszny był wzrok jego, gdy nim wiódł po dalekiej, plonem okrytej dolinie, oświecanej od czasu do czasu nocną błyskawicą. I ten dwór biały, tam w uboczu między lipami, nie miał on dzisiaj dla niego żadnego innego wspomnienia?

Snąc coś znalazło się w głębi duszy, bo dwie łzy puściły mu się z oczu, które szybko otarł rękawem od płaszczka.

Długo patrzył na ten dwór, aż wreszcie dostrzegł światło w piekarni. Światło to zelektryzowało go. Poprawił węzełka na ramieniu, spojrzął jeszcze raz na światło i wśród gromów i błyskawicy ruszył ku niemu najkrótszą drogą.

Był to Jarema. —

VIII.

W karczmie.

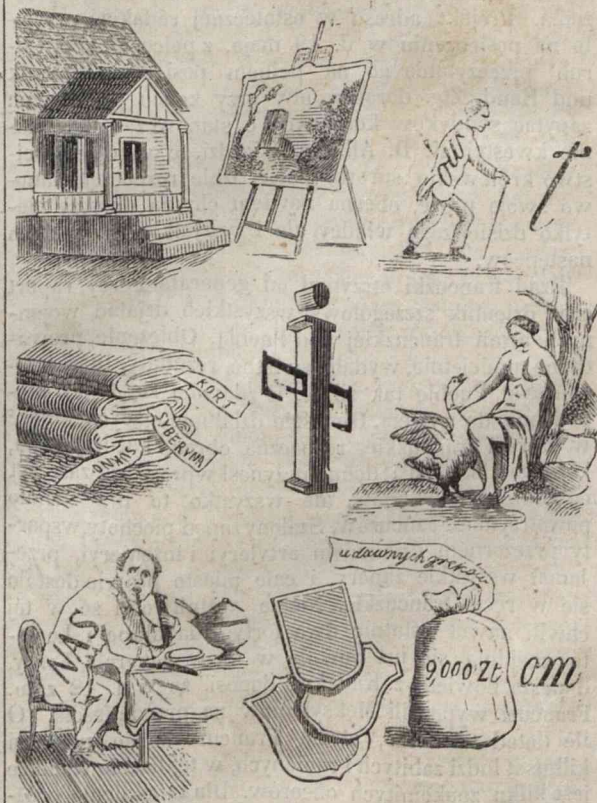
Dwadzieścia lat minęło, jak Jarema wyszedł z swojej wioski rodzinnej. Widzieliśmy go na wstępie nowej jego kariery, słyszeliśmy, jak wielkie u ślepego Jośka rokowano mu nadzieje i jak chętnie przyłgnął rekrut do tych różowym kolorem malowanych nadziei.

Zkądże on wraca dzisiaj? Cóż go przywołało do wioski rodzinnej. Czegóż się dorobił po latach dwudziestu?

Jarema służył w wojsku lat czternaście. Jedną kapitulacją wysłużył za siebie, drugą za jakiegoś Niemca, który zato dał mu kilkaset reńskich. Nauczono go czytać i pisać, ale po za te hieroglify ducha ludzkiego nie wyszedł nigdy. Znał on tylko onych dwadzieścia kilka znaków, któremi posługuje się duch ludzki, i umiał je nawet w wskazanej permutacji napisać a napisane odczytać; ale użyć ich za narzędzie własnych myśli i uczuć, tego nie umiał Jarema. Mógł więc tylko według danej formułki napisać raport i należycie wypełnić drukowane rubryki. Stosownie też do tej swojej nauki otrzymał stopień i dosłużył się rangi kaprala.

W tym nowym dla niego zupełnie świecie nie miał Jarema zbyt wielkich pretensyj, a stopień kaprala zadowalał

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 190.

Kto karczmę zamyka, a szkołę otwiera, tego imię wśród ludu pewnie nie umiera.

W drukarni J. Ungra.—Za pozwoleniem cenzury.

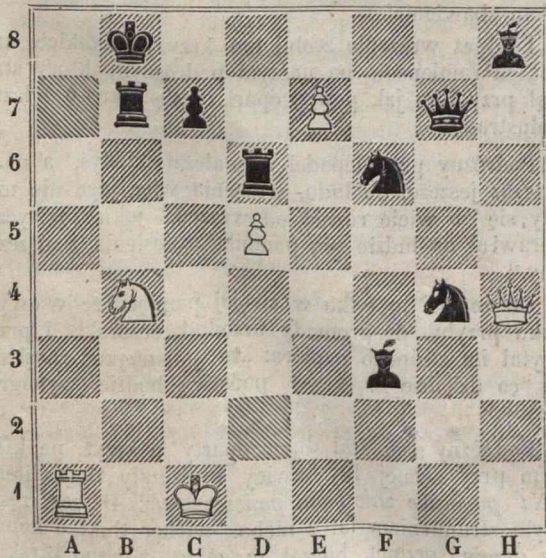
SZACHY.

ZADANIE CLVI.

(J. B. z Grodna).

Białe zaczynają i dają mata za szóstym posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 155.

Białe.

Czarne.

- 1) H 4—C 1 1) H 2—H 4 (królowa).
- 2) C 8—D 6 2) C 5—D 6 białą (a)
- 3) C 4—C 5 † i mat.
- (a) 2) H 4—C 1 białą.
- 3) D 6—B 7 † i mat.